

665 Smutna rocznica pogodnej artystki

Piątego sierpnia minęła bez rozgłosu dziesiąta rocznica śmierci jeleniogórskiej aktorki — **ZUZANNY ŁOZIŃSKIEJ**, cenionej, lubianej przez widzów artystki, obdarzonej niezwykle urokiem i urodą.

W interesie wiecznie młodej kobiety było nie ujawniać wieku. W kalendarzyku z 1924 roku wpisała datę urodzenia 1884, ale w innych okolicznościach podawała rok przyścia na świat 1896. Jubileusz pracy aktorskiej Zuzanny Łozińskiej, córki muzyka w operze, obchodzone były przez środowisko, związane z teatrem, niezwykle uroczyste. Bodaj najokazalej uczczono w 1974 roku 60-lecie jej pracy scenicznej, którą zaczynała w 1912 r. jako adepta szkoły baletowej. Już dwa lata później występowała we lwowskiej operetce, potem grała w Krakowie i Stanisławowie, a warty przypomnieć, że był to najbardziej wysunięty na wschód ośrodek teatralny przedwojennej Polski. Tam właśnie Zuzanna Łozińska zaistniała w potrójnej roli: dyrektora, reżysera i aktorki.

W Jeleniej Górze artystka zjawiała się 1 września 1947 roku, zostając w teatrze dyrektorem i kierownikiem artystycznym. Co prawda, odeszła stąd w 1954 roku do wrocławskiego Teatru Rozmaitości, ale za sześć lat wróciła do miasta, z którym już była mocno związana.

Przez siedemdziesiąt lat pracy aktorskiej nigdy nie odwołano przedstawienia z powodu jej niedyspozycji. Ci, którzy ją znali, wspominają, że była egocentryczna, a zarazem bardzo szczodra. Praca stanowiła jej żywioł. Miała świetną pamięć. Zjawiała się półtorej godziny przed spektaklem, charakteryzowała się starannie. Przed wejściem na scenę była już maksymalnie skupiona, skoncentrowana. Przez półtorej godziny przygotowania znajdowała również czas, żeby się pomodlić.

Dla niej nie było ról ważnych i epizodycznych. Nawet jeśli zjawiała się na scenie na krótko, miała rolę dopracowaną do końca, co wyróżniało ją na scenie w każdym szczególe, geście, w mimice. Jeleniogórski polonista Adolf Sypko, który był kiedyś z młodzieżą na próbach, wspomina, jak dyskretnie, nie narzucając się, spojrzaniem, gestem potrafiła pomóc komuś, kto sobie nie radził z aktorskim zadaniem, rozkładując również napięcie. W bezpośredniej rozmowie i na scenie miała niezwykle dar nawiązywania emocjonalnego kontaktu z widzami. W rozmowie bezpośredniej, zawsze z uśmiechem, prowokowała do wątków, myśli, spostrzeżeń, których rozmówcy nawet u siebie nie podejrzewali. Było to coś w rodzaju emocjonalnej i intelektualnej, ale dyskretnej prowokacji.

Prof. Tyburejusz Tyblewski wspomina niezwykłą sprawność umysłu aktorki i jej „promienistą energię”. Z czasów, kiedy jeszcze był licealistą, zapamiętał jej zwykłą ludzką dobroć. To był rok 1949, kiedy chciał wejść do teatru, miejsca były zajęte, a obsługa nie wpuszczała natręta. Ten epizod rzucił w oczy pani dyrektor Łozińskiej, która podszła do chłopca, a usłyszawszy, że bardzo chce obejrzeć spektakl, wręczyła mu bilet i powiedziała: „To idź już na salę, młody człowieku!”.

Szczupła, niewysoka, potrafiła sprostać rolom, które wymagały niezwykłej siły fizycznej. Wszyscy znali jej odporność na ból. Kiedyś, przed spektaklem „Tanga”, zaatakowały aktorkę korzonki, a teatr miał właśnie wystąpić w Karpaczu. Nie mogła ruszyć się z bólu. Kierowca zaniósł ją do autokaru, potem do garderoby. W sztuce musiała grać w pokera, chodzić po scenie, nawet wdrapać się na katefalk. Tylko stojący za kulisami widzieli, że nieznacznie ociera łzy. Zagrała świetnie, ale kiedy opadła kurtyna — zemdlała.

Wytrzymała na niewygodę, nigdy nie skarżyła się na warunki. Była szalenie pracowita, a ci, którzy z nią współpracowali mówią, że już się nie spotyka tego formatu odpowiedzialności. Jej zewnętrzne zdyscyplinowanie było tego rodzaju, że odnosiło się



Fot. Stanisław Dukiewicz

wrażenie, jakby nigdy nie dawała sobie większego luzu.

Miewała też swoje słabości. Na przykład, paliła. Lubiała być damą. Kiedyś dobierano obsadę do „Dwóch teatrów”. Zwykle każda aktorka chce zagrać Matkę. Więc kiedy i ją zapytano, czy miałaby ochotę wystąpić w tej roli, obruszyła się: „Ja nie jestem aktorką do obierania ziemniaków na scenie!”. Ta drobna słabość szła w parze z niezwykle skromnością, umiejętnością bycia nawet z młodymi na ciepłej koleżeńskej stopie.

Jednego nie znosiła — gotowania.

Wiele razy mogła opuścić Jelenią Górę, zmienić teatr. Zostawała tutaj ze szczerego przywiązania. Cechowała ją wielka troska o rodzinę, matkę. A kiedy zdecydowała się przenieść z nowym sezonem do Częstochowy — odeszła na zawsze.

Często mawiała: „Miałam szczęśliwe życie”.

MARIA SUCHECKA